TOŻSAMOŚĆ · OPINIA

ELITY NIE ZROZUMIAŁY GIEDROYCIA. OKULARY MIŁOSZA I NASZ INTERES NA WSCHODZIE

Piotr R. Wyrębski · 28 lipca 2026

Polska polityka wschodnia przegrała, bo realizm ULB odczytano przez moralną wrażliwość Miłosza.

Kryzys w stosunkach z Ukrainą nie jest wypadkiem przy pracy. Jest rachunkiem, który po trzydziestu latach przyszedł do zapłaty. U jego źródła leży błędne odczytanie realistycznej doktryny ULB Giedroycia i Mieroszewskiego przez moralną wrażliwość Czesława Miłosza. Elity III RP, podejrzliwe wobec wszystkiego, co narodowe, nie dostrzegły, że inspiracji dla polityki wschodniej można szukać także poza wąsko rozumianym nacjocentryzmem. Wyjście prowadzić może przez państwową i cywilizacyjną optykę Józefa Mackiewicza.

Kryzys, który był do przewidzenia

W pierwszym tygodniu lipca 2026 roku Parlament Europejski przyjął doroczną rezolucję o postępach Ukrainy w akcesji do Unii. Dopisano do niej poprawki w sprawie decyzji Wołodymyra Zełenskiego, który nadał elitarnej jednostce imię „Bohaterów UPA". Warto zapamiętać, co przeszło, a co upadło. Przeszła bowiem miękka poprawka Europejskiej Partii Ludowej, do której należą KO i PSL, wyrażająca ubolewanie. Upadła twarda poprawka Konserwatystów i Reformatorów, warunkująca dalsze negocjacje od potępienia ideologii UPA i uznania czystek etnicznych. Europa zgodziła się z nami poubolewać, nie postawić warunku, a polscy europosłowie nie mieli siły, by go przeforsować.

Najciekawsze jest, kto grał przeciw. Nie Berlin, nie Paryż, nie Madryt, lecz państwa bałtyckie, przede wszystkim Litwa, w naszej wyobraźni wciąż naturalny sojusznik. Litewscy europosłowie dowodzili, czytając zachodnim kolegom Snydera, że sprawa jest zbyt skomplikowana dla Parlamentu. Nasz domniemany partner z obszaru ULB uznał, że jego interes leży bliżej Kijowa niż Warszawy. I miał rację, bo to my daliśmy mu prawo tak sądzić.

W tych samych tygodniach toczyła się druga scena, mniej symboliczna, za to boleśnie konkretna. Krakowska spółka Control Process wybudowała we Lwowie zakład przetwarzania odpadów za blisko czterdzieści milionów euro, w niemal dziewięćdziesięciu pięciu procentach gotowy. Miasto zerwało kontrakt, nie zapłaciło około dziesięciu milionów euro i zignorowało siedemdziesiąt pięć korzystnych dla firmy orzeczeń arbitrażu FIDIC. Na konferencji odbudowy w Gdańsku mer Lwowa chwalił się nowymi kontraktami z zagranicą, z żadnym polskim. Sama spółka ujęła to jednym słowem, które powinno być mottem naszej polityki wschodniej: jesteśmy ostrzeżeniem.

I scena trzecia. Polska rozważała przekazanie Ukrainie pozostałych MiG-ów-29 w zamian za ukraińskie technologie dronowe na prostej zasadzie: coś za coś. Ukraina wstępnie się zgodziła, po czym się wycofała, więc w połowie czerwca 2026 roku Warszawa wstrzymała transfer. Po raz pierwszy od 2022 roku powiedzieliśmy „coś za coś" i okazało się, że tego zdania nie mamy opanowanego: to była reakcja wymuszona opinią publiczną po aferze UPA, nie zasada rządu, i to żadnego po 1989 roku.

Trzy sceny, jedna diagnoza. Państwo, które dostarcza wartość, pieniądze, broń, infrastrukturę, polityczny parasol, nie potrafi wyegzekwować zwrotu. To nie jest zdrada sojusznika. To jest rachunek za naszą własną słabość.

Polityka uległości i jej cena

Powtórzę tezę, od której trzeba zacząć, żeby nie osunąć się w lament: ten kryzys nie spadł na nas znienacka. Wyrósł z trzech dekad polityki, w której Polska występowała z pozycji słabego, takiego, który prosi, wspiera, rozgrzesza i niczego w zamian nie żąda.

Zastrzeżenie: nie jest tak, że narody wschodnie nie szanują słabych, jakby to była ich cecha plemienna. Tak działa siła w polityce, wszędzie. Ukraina liczy się z Niemcami, USA i Francją nie z sympatii, lecz dlatego, że stawiają warunki i dostarczają wartość nie do zignorowania. Rheinmetall zbudował na Ukrainie najgłębszą obecność przemysłową ze wszystkich zagranicznych koncernów: fabryki, serwis, joint venture, pakiet kontrolny. Berlin bierze przemysłową premię odbudowy. My prawimy kazania i płacimy faktury, których nikt nam nie zwraca.

Aleksander Bocheński w *Dziejach głupoty w Polsce* dowodził, że narodowym nałogiem Polaków jest mylenie gestu z polityką. Uległość to odwrócona forma tej samej choroby. Romantyk rzucał się z szablą na czołgi; jego dzisiejszy potomek rozdaje bezwarunkowe wsparcie i nazywa to dojrzałością. W obu wypadkach miarą jest własne samopoczucie, nie skutek. A polityka mierzona samopoczuciem zawsze przegra z polityką mierzoną wynikiem.

Czym naprawdę było ULB

Tu dochodzimy do nieporozumienia, które organizuje całą resztę. Elity Trzeciej Rzeczypospolitej definiują politykę wschodnią przez ULB i właśnie dlatego jej nie rozumieją.

> Kiedy Juliusz Mieroszewski formułował na łamach paryskiej „Kultury" koncepcję obszaru ULB, nie pisał traktatu o miłości bliźniego, lecz zimną analizę. Jej rdzeń: bezpieczeństwo Polski wymaga pasa suwerennych państw, Ukrainy, Litwy i Białorusi, oddzielających ją od Rosji, bo Polska bijąca się z nimi o pogranicze pracuje dla Moskwy. Rezygnacja z Kresów nie była sentymentem ani skruchą, lecz ceną: oddajemy mniej, by zabezpieczyć więcej. I rzecz najważniejsza: wpisana w to była wzajemność.

Bufor miał służyć Polsce, a nieimperialna miała być nie tylko Rosja, lecz i Polska, z założeniem, że sąsiad odpłaci partnerstwem, a nie tożsamością budowaną na formacji, która nas mordowała.

Giedroyc nie jest więc autorem tej klęski. Elity nie odrzuciły jego doktryny, okroiły ją do połowy. Wzięły nakaz: wspierać sąsiada. Wyrzuciły rację, dla której ten nakaz istniał: polski interes, któremu suwerenny sąsiad miał służyć. Powstała doktryna, w której Polska jest wieczystym gwarantem cudzej suwerenności i nigdy jej beneficjentem. Mieroszewski nie tolerowałby zerowej wzajemności ani przez tydzień, bo wzajemność była całym sensem jego rachunku.

Okulary Miłosza

Skąd wzięło się to wypłukanie? Kto założył elitom okulary, przez które realistyczną doktrynę zaczęto czytać jako moralny obowiązek? Odpowiedź jest paradoksalna i dlatego warta eseju.

Najpełniejszym wyrazem tej wrażliwości nie jest ani Giedroyc, ani Michnik. Jest nim Czesław Miłosz, i zaznaczmy od razu, w jakim sensie: tej polityki nie stworzył i nie pisał nikomu instrukcji. Nadał tej wrażliwości język i prestiż, których nie dał jej nikt inny.

O skali tego prestiżu nie świadczy jeden Michnik. Świadczy gest mocniejszy: gdy w grudniu 1980 roku odsłaniano w Gdańsku pomnik Poległych Stoczniowców, symbol założycielski Solidarności, o słowa na jego kamień komitet poprosił właśnie Miłosza, cenzurowanego w kraju emigranta i noblistę. Jego wiersz wykuto u kolebki ruchu, z którego wyrosła elita III RP. Takiego autorytetu nie miał tam nikt inny.

Świadkiem osobistym jest sam Michnik, jeden z głównych autorytetów ówczesnej inteligencji. W pożegnalnym eseju nazwał Miłosza nauczycielem polskich umysłów wyzwolonych i, po Kochanowskim i Mickiewiczu, tym, kto najgłębiej odcisnął się na kształcie polskości. Dzięki niemu, pisał, możemy stać się Polakami innego gatunku: „bez taryfy ulgowej, bez renty od swojej martyrologii".

Zatrzymajmy się przy tym zdaniu, bo mieści się w nim cała sprawa i cała pułapka. Odrzucenie renty od martyrologii jest zdrowe; wrócę do tego przy Wołyniu. Naród żyjący z własnej krzywdy jak z kapitału jest bezbronny. Gdyby na tym się kończyło, Miłosz byłby lekarzem, nie diagnozą.

Rzecz w tym, że kończy się gdzie indziej. Michnik, wyliczając, za co jego mistrz spłacał długi, wymienia jednym tchem podbite narody bałtyckie i Żydów. I tu jest sedno: ta sama wrażliwość, która każe podejrzliwie patrzeć na polskie cierpienie, każe uznać cudze za dług. W *Rodzinnej Europie* i esejach wileńskich Miłosz zbudował obraz pogranicza, w którym perspektywa sąsiada jest moralnym centrum, a polskie roszczenie zawsze podejrzane.

> Ten sam odruch odnajdujemy w polityce elit: cudzy nacjonalizm jest zrozumiały, bo z krzywdy, polski interes to „nasze ustępstwo", bo z pychy.

Skutek jest zabójczy dla wzajemności. Jeśli jedna strona wyłącznie spłaca dług, a druga wyłącznie go inkasuje, ULB przestaje być rachunkiem, a staje się pokutą. Nie ma w nim miejsca na polski interes, bo interes zdyskwalifikowano jako martyrologię, a cudze roszczenie uświęcono jako dług. To nie jest zdrada Giedroycia w złej wierze. To Giedroyc czytany przez okulary, które pokazują tylko połowę pola.

Ktoś powie: skąd wiadomo, że to Miłosz, a nie Kościół, Jan Paweł II, „Gazeta Wyborcza" czy liberalizm lat dziewięćdziesiątych? Pytanie jest słuszne. Nie dowodzę drogi przekazu, kto od kogo przejął pióro;

udowodnić się jej nie da, a udawanie dowodu byłoby oszustwem. Dowodzę czegoś mocniejszego: zbieżności kształtu. Miłoszowska wrażliwość ma strukturę, podejrzliwość wobec polskiego, dług wobec cudzego, a polityka wschodnia III RP odtwarza tę samą strukturę. Żadne inne źródło tej asymetrii nie tłumaczy. Liberalizm i Unia uczyły porzucać nacjonalizm wobec każdego państwa postkomunistycznego, nie wyjaśniają więc, czemu akurat wschodnim sąsiadom oddaliśmy się w jednostronny dług. Kościół i Jan Paweł II to wrażliwość wręcz przeciwna: ich pojednanie było symetryczne, oparte na obopólnej winie. Zostaje „Gazeta Wyborcza", ale nie jest osobnym źródłem, lecz najgłośniejszym głosem tej samej wrażliwości, nie jej autorem. Dlatego mówię: Miłosz. Nie twierdzę, że politycy czytali *Rodzinną Europę* przed każdą decyzją. Twierdzę, że myśleli w kategoriach, którym dał najczystszy i najbardziej prestiżowy wyraz.

I tu paradoks domyka się okrutnie. Miłosz gardził politycznym romantyzmem, drwił z szabli i sztandaru, był antyromantykiem z krwi i kości. A w praktyce politycznej ta wrażliwość zaczęła funkcjonować jako romantyzm pokuty, drugie wcielenie przymusu, przed którym on sam chciał Polaków uchronić. To gorszy spadek, bo niewidoczny: nikt nie nazywa go romantyzmem, wszyscy nazywają go dojrzałością.

Zaznaczam, o czym mówię, a o czym nie. Nie stawiam Miłosza naprzeciw Mackiewicza, bo Miłosz był blisko Giedroycia i sam go bronił. Nie spieram się też z jego antymartyrologią, którą podzielam. Spieram się z asymetrią, z długiem płaconym wyłącznie w jedną stronę. Mówię o nim jako o diagnozowanej wrażliwości, nie autorytecie: nie po to, by się z nim zgodzić, lecz by pokazać, jaka optyka organizowała polską politykę wschodnią i dlaczego okazała się kaleka.

Cywilizacja, nie nacjocentryzm: optyka Mackiewicza

Tu leży różnica, której większość nie rozumie, a bez której esej brzmiałby jak wezwanie do nacjocentryzmu w rozumieniu deprecjonowania roli wszystkich innych niż narodowy czynników. Poglądy, o których piszę, można przyjąć, wychodząc z różnych pozycji, odwołując się do dziedzictwa różnych tradycji politycznych. W polskim dyskursie wszystko, co narodowe, odczytuje się natychmiast jako endeckie; innej kategorii właściwie nie ma. To zubożenie języka jest częścią problemu, bo realizm interesu państwa nigdy nie był własnością jednej formacji, myśl narodowa dała mu klasyczny wykład, ale rozwijali go także piłsudczykowscy realiści: Bocheński, Mackiewicz i inni. Elity, odrzucając obóz narodowy w całości, odrzuciły wraz z nim samą kategorię interesu.

> Można być piewcą cywilizacji łacińskiej, której emanacją na Wschodzie była kultura polska, nie czyniąc z narodu jedynej miary. To dwa różne porządki, a ich pomylenie jest kardynalnym błędem naszych elit, które uznały za zasadne odrzucić politykę realną jako taką.

Nikt nie pokazał tego jaśniej niż Józef Mackiewicz: Wilnianin, krajowiec, dla którego najwyższą wartością była prawda. Odrzucał nacjocentryzm, czynienie z plemiennej lojalności jedynej miary, u wszystkich po równo, miarą był dla niego porządek cywilizacyjny. Ostrzegał, że nacjocentryczna ślepota – nie uwzględniając całokształtu złożoności kwestii wschodniej – pracuje dla Moskwy, skłócając tych, których interes jest na wielu odcinkach wspólny. A jednak nie wątpił, że kultura polska była tu nośnikiem cywilizacji łacińskiej, przeciwstawionej porządkowi turańskiemu i moskiewskiemu. Bronić jej nie znaczyło głosić wyższości krwi, lecz bronić ładu, prawa, osoby i wolności, przeciw despotyzmowi.

Pojęcie „cywilizacji łacińskiej” bierzemy od Feliksa Konecznego, z zastrzeżeniem, że to narzędzie analityczne, nie dogmat. Ramę geograficzną daje Oskar Halecki, który opisał Europę Środkowo-Wschodnią jako odrębny region, pogranicze Zachodu, nie jego peryferię ani korytarz. Te trzy optyki składają się na to, czego elitom brakuje najbardziej: język, w którym mówi się o polskiej podmiotowości cywilizacyjnej bez popadania w nacjocentryzm.

Bez tego języka pozostaje fałszywa alternatywa, w której tkwimy od trzydziestu lat: albo miłoszowska skrucha, albo plemienny odruch. A prawdziwy wybór, chłodny i cywilizacyjny zarazem, leży gdzie indziej.

Interes zamiast sentymentu

Poprawnie odczytane ULB nie znaczy „porzucić Ukrainę”, to byłby błąd symetryczny do błędu elit, zamiana jednego odruchu na przeciwny. Znaczy coś trudniejszego: wspierać bufor o tyle, o ile służy bezpieczeństwu Polski, i na warunkach wzajemności, tak jak robią to Niemcy, Amerykanie i Francuzi, z warunkiem i ceną. Wsparcie bez warunku nie jest szczodrością. Jest abdykacją.

Bo rachunek ma swój czas. Największą dźwignię mieliśmy w 2022 roku, gdy Ukraina potrzebowała nas najbardziej, i właśnie wtedy oddaliśmy wszystko bez ceny. Nie chodziło o to, by pomagać mniej, bo upadek Ukrainy niszczył polski bufor. Chodziło o to, by pomoc związać warunkiem, gdy druga strona podpisałaby niemal wszystko. Nie związaliśmy. Dziś, gdy Ukraina ma innych mecenasów i własną produkcję zbrojeniową, każdy nasz rachunek wygląda już tylko na spóźniony odruch.

I tu muszę postawić ostrze, które boli, bo prawdziwy realizm nie oszczędza własnej strony. Jeśli miarą jest interes, to interes obowiązuje również naszą pamięć. Wołyń nie jest świętością wyjętą poza kalkulację, jest instrumentem podmiotowości. Domagamy się uznania rzezi nie po to, by celebrować cierpienie, lecz by pokazać, że Polska jest aktorem z pamięcią, a nie dostawcą, który przełknie każdą zniewagę. To zdrowa połowa lekcji Miłosza: pamięć nie może być rentą. Ale bez prawa do własnego interesu staje się jednostronnym rozbrojeniem. Państwo, które o Wołyń upomina się chłodno, jako o cenę powagi, jest silniejsze niż to, które pamięć albo wypiera, albo czyni z niej ołtarz. Pamięć ma służyć podmiotowości, nie zastępować strategii.

Drogowskaz jest więc podwójny. Mackiewicz daje rację obecności, cywilizacyjną, nie plemienną odpowiedź na pytanie, po co Polska ma być na Wschodzie. Bocheński daje jej miarę, zimną kalkulację interesu, w której każdy gest wobec sąsiada rozlicza się skutkiem, nie sentymentem.

> Sama cywilizacja bez interesu jest estetyką, sam interes bez cywilizacyjnej racji cynizmem. Dopiero razem są polityką.

I tu dwie tradycje, które zwykło się sobie przeciwstawiać, spotykają się właśnie na Wschodzie. Realizm interesu narodowego, do którego przyznaje się myśl narodowa i który wyłożył Bocheński, mówi: podporządkuj plemienny sentyment kalkulacji, bo naród zastępujący rachunek uczuciem słabnie. Mackiewicz, z zupełnie innego gruntu, mówi o Wschodzie to samo: nacjocentryczna ślepota pracuje dla Moskwy. Różni ich pierwsza zasada – dla jednego miarą jest naród, dla drugiego prawda, ale na Wschodzie ich recepty się schodzą: sentyment ustępuje interesowi, a interes czyta się cywilizacyjnie, nie plemiennie. Polityka

wschodnia jest tym rzadkim miejscem, gdzie realizm narodowy i realizm cywilizacyjny wskazują ten sam kierunek.

Wschód nie szanuje tych, którzy przychodzą z sentymentem. Ktoś odpowie: przecież raz przyszliśmy z rachunkiem – MiG-i za drony – i został z tego tylko gniew na Ukraińców. Zgoda, ale tamto nie było rachunkiem, było spazmem, jednorazowym, wymuszonym emocją po aferze UPA. A gniew to wciąż sentyment, tylko w gorszym nastroju. Rachunek nie jest wybuchem ani zemstą. Jest zasadą, która nie zależy od nastroju: każdą formę wsparcia odmierzać polskim interesem, chłodno i na stałe. Jeden spazm niczego nie obala, bo doktryny, którą miałby obalać, nigdy nie było. Nie potrzebujemy więcej gniewu. Potrzebujemy doktryny.

Bibliografia

A. Bocheński, *Dzieje głupoty w Polsce. Pamflety dziejopisarskie*, Warszawa 1947.

O. Halecki, *The Limits and Divisions of European History*, Londyn–Nowy Jork 1950.

F. Koneczny, *O wielości cywilizacyj*, Kraków 1935.

J. Mackiewicz, *Zwycięstwo prowokacji*, Monachium 1962.

A. Michnik, *Umysł wyzwolony*, „Gazeta Wyborcza" 2004, 15 VIII.

J. Mieroszewski, *Rosyjski „kompleks polski" i obszar ULB*, „Kultura" (Paryż) 1974, nr 9(324).

C. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Paryż 1959.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=RQOz66zBUbg

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/elity-nie-zrozumialy-giedroycia-okulary-milosza-i-nasz-interes-na-wschodzie/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć